

Kronika tygodniowa.

Ostatecznie więc zdecydowałem się, iż do Rady stołecznego królewskiego miasta Krakowa kandydować nie będę, nie dlatego jednak, jakobym się nie czuł na siłach, iż mogę rozwinąć tu obfitą w skutki działalność obywatelską, ale z powodu, iż brakuje mi owego *nervus rerum*, bez którego żaden kandydat nie może wejść do owej ziemi obiecanej, płynącej, jak wiadomo, mlekiem i miodem.

Co to za *nervus*, o tem wie każdy. To owa marna mamona, której dźwięk i szelest tak przekonywująco działa na wyborców. Choćbyś wygłosił najwspanialszą mowę kandydacką, jeśliś na tem tylko chciał skończyć, pożegnaj się zawnazą z mandatem!

Ponieważ jednak miałem gotowy materyał do mowy, a nie chciałem, by się zmarnował, ogłosiłem konkurs na pozbycie się jej i rzeczywiście nie zawiodłem się na tem, zaraz bowiem nazajutrz zgłosił się do mnie jeden z rozszerzonych obywateli i rozpoczął przetarg.

Odczytałem mu ją z odpowiednim patosem, ilustrując równocześnie szerokim gestem. Widocznie przypadła mu do gustu, po długim bowiem szukaniu po kieszeniach i w różnych przegródkach portfela wyciągnął pięćdziesiąt, położył ją na stole i spoglądając na mnie z podejbą, jak to pięknie powiedział ś. p. Homer „hypodra“, rzekł:

— Będzie dość?...

Oburzyłem się w pierwszej chwili i zawołałem:

— Panie! Więc takie szczytne zasady mam sprzedać za marną piątkę?... Nie! To się po mnie nie pokaże!

— Ha! Trudno! — odparł natychmiast i wyciągnął kosmatą łapę, by ją zabrać z powrotem.

Żał mi się zrobiło, zwłaszcza, że znajdowałem się w owym stadyum, o którym mówi poeta:

Trzy razy księżyc złoty się odmienił,
Gdy ostatniego już guldena zmienił...
Gulden ostatni!...

Westchnąłem więc ciężko, jak na te ciężkie czasy przystało, wręczyłem mu manuskrypt, a banknot zniknął w mej przepaścistej kieszeni.

Jestem pewny, że mój pupil zrobi odpowiednią furorę, jeśli naturalnie nie ograniczy się do przemówienia, ale poprze je, jak to wyżej wskazałem. Kielbasa wyborcza święcić będzie tryumfy, zbliża się bowiem czas, w którym czarodziejska urna będzie w ruch puszczoną. Termin już oficjalnie ogłoszono, na razie w urzędowej magistrackiej „Gazecie poniedziałkowej“ z dnia 4 maja. Rozpoczynają się 14 maja, kończą 19 wyborami z koła intelligencji, gdzie wyścigi o mandat radziecki będą najbardziej interesujące, tutaj bowiem „panowie jeżdżą“. Spodziewać się więc można różnych niespodzianek.

Ci z kandydatów, którzy żyją w przyjaźni ze ś. p. nieboszczykami, mogą być pewni zwycięstwa, nie radziłbym więc kandydowania naszym lekarzom, nie znaleźliby bowiem poparcia u tych, którym ułatwili wyjazd na tamten świat, zazwyczaj bez ich wiedzy i woli.

Ponieważ sam nie potrzebuję się troszczyć o swą kandydaturę, mogę natomiast więcej czasu poświęcić na badanie ruchu wyborczego, z którego, jako sprawiedliwy kronikarz, muszę zdać sprawozdanie i to do tego zupełnie wiarygodne, mym P. T. Czytelnikom.

W dzień, jak już poprzednio wspominałem, ruch wyborczy jest jeszcze bardzo słaby, co najwyżej po lokalach śniadaniowych omawia się szanse kandydatów i stawia horoskopy na przyszłość. Pilzner cieszy się wobec tego zwiększonym odbytem, przed początkiem maja puknęła nawet tu i ówdzie butelczyna szampitra, był bowiem o całą koronę tańszy na flaszce. Wysoki Rząd troszczy się zawsze o to, by ludność nie oddawała się zbyt, począwszy od pierwszego maja nałożył więc na szampa podatek po 80 halerzy za flaszkę, 20 halerzy dodali od siebie „z łaski“ sprzedający na swój benefis.

Ciągłe słyszysz powtarzające się słowa: Leo, Federowicz, Bazes... są to bowiem właściwi patronowie, pod których wezwaniem odbywają się wybory.

Wieczór natomiast podniecenie wzmaga się i około północy dochodzi do punktu wrzenia. Ulicami przeciągają gromadki wyborców, przeważnie wyznania mojżeszowego, towarzyszą im zaś co najmniej po dwie ober-hyeny. Jedna prowadzi na czele, druga zasłania tyły, by nie uronić po drodze żadnej z owieczek...

To uczestnicy różnych konwentyklów, stanowiących kadry, z których wyjdą kiedyś waleczni szermierze idei magistracko-demokratycznej, gotowi za

misę soczewicy, czyli kawałek wyborczej kielbasy wyrzec się swych najżywniejszych przekonań.

Konwentykle te postanowiły więc, kto ma zasiąść na fotelu radzieckim w pałacu Wielopolskich, nazwiska kandydatów powoli, mówiąc po aptekarsku „co godzina po lyżce“ przedostają się do wiadomości wyborców i niewyborców, ciekawych nie tyle mów kandydackich, jak smaku owej tradycyjnej kielbasy, której woń rozchodzi się już w powietrzu i tak mile drażni organ powonienia.

Przedsiębiorczy obywatele, umiejący pamiętać o sobie w każdej sytuacji, zgłaszają swe usługi w różnych komitetach, poszukiwani są zwłaszcza gadający dużo i obdarzeni zdrowym żołądkiem i dobrym spustem. W lokalach agitacyjnych przeznaczono dla nich funkcje mistrzów ceremonii.

Znam takiego pana, który ze staropolską gościnnością podejmował podczas poprzednich wyborów braci obywateli, zdążających do urny, każdego wyściskał i wycalał, do każdego przypił, kazał sobie jednak słono zapłacić za fatywę. Choć bowiem dano mu fundusz na odpowiednią reprezentację stronnictwa, schował go najspokojniej do kieszeni, a rachunki za przyjęcie wyborców kazał odesłać komitetowi.

Ten z początku się dziwił, potem gniewał, wreszcie pogodził się z przykrą rzeczywistością i drugi raz wyasygnował odpowiednią kwotę.

To rozumiem, to jest realna polityka i racjonalne pojęcie obywatelskiej działalności.

W miarę, jak nazwiska desygnowanych na fotelu radzieckim przedostają się w świat szerszy, wybieram się i ja do jednego i drugiego ze skromnym zapytaniem:

— Słyszałem, pan łaskawy kandyduje?

Zagadnięty w ten sposób, czerwieni się (zapewne ze skromności), potem udaje zdziwionego i jakby pierwszy raz słyszał o czemś podobnym, wskazuje na siebie i pyta:

— Ja?...

— Tak jest! — odpowiadam. — Dowiedziałem się o tem z ust wiarogodnych i ze wszechmiar zasługujących na zaufanie!

— Czy być może?

— Tak jest! Od własnej pańskiej hyeny wyborczej!

W tem miejscu rzędzie mu mina, zaczyna chrząkać, po chwili mówi:

— To jest... właściwie ja sam nie kandyduję, tylko namawiamy mnie do tego moi przyjaciele! Ja tam gotów jestem do służby dla dobra miasta, bo to mój obowiązek, jako obywatela, bym jednak miał sam czynić jakieś kroki, a może nawet angażować się finansowo, to się po mnie nie pokaże!

— Znam pańskie zasady i wiem, że pan tego nie robi dla jakiejś prywaty...

— Tak, tak!... Jeśli mnie wybiorą, ha, to trudno! Poświęcę się, choć przyznam się panu, że będzie to połączone dla mnie z uszczerbkiem i to wielkim! Ucierpią na tem moje własne, prywatne interesy... Ale trudno, jest się obywatelem...

— To rozumiem! Tak powinien mówić każdy! Bodaj tacy rodzili się na kamieniu! Panie! Ja po pańskim najdłuższym życiu machnę panu taki nekrolog, że, niech mnie szlag trafi, jeśli kłamie, inni nieboszczycy pozielenieją ze zazdrości. Rzadko spotkać męża o takich cnotach obywatelskich...

— Zresztą — przerywa mi mój interlokutor — jeśli ja się sam o mandat nie staram, tylko zmusza mnie do tego moje stronnictwo, mam wobec tego wolne ręce i mogę po wyborze robić, co mi się podoba. Nie mogą mi powiedzieć: rób, co my ci każemy!... bo spotkają się zaraz z odpowiedzią: Hola! A czy ja was prosiłem, byście mi oddali swe głosy? Trzeba było sobie poszukać takiego, któryby się dał za nos wodzić! Ja na to nie pozwolę...

— Święte słowa! Powinno się je wyróżnić złotymi głoskami na marmurze i celem zachęty umieścić w podziemiach... Sukiennic.

Takich Katonów i Arystydesów spotykam na każdym kroku, żaden z nich o mandat się nie ubiega, gdyby go jednak, ze względu na jego cnoty obywatelskie, przypadkowo wybrano, gotów poświęcić się i ostatecznie dać nawet coś monety na agitację, trudno przecież wymagać, by hyeny męczyły się za darmo.

Wiadomo zresztą, że „kto smaruje, ten jedzie“.

Powiada jednak przysłowie: „Niech nie wie lewica, co daje prawica“... i właśnie tutaj stosuje się je w całej rozciągłości. Jeśli gdzie, to w czasie wyborów dyskrecja jest rzeczą szczególnie polecenia godną. Na Stapińskim i Długoszu przekonano się, jak wychodzą na tem ci, co biorą i ci, co dają.

A *propos* Stapińskiego słyszałem onegdaj doskonały dowcip, którym muszę się podzielić z Czytelnikami.

Ktoś zapytał sąsiada, czy wie, jaka jest różnica

między Stapińskim a Mickiewiczem, gdy ten zaś nie mógł wpaść na nią, tak mu wytłumaczył:

— Mickiewicz cierpiał na miliony, Stapiński tylko za pół miliona!

Przygotowujmy się więc do wyborów, bo one już za pasem, w następnej kronice, która będzie ostatnią przed terminem wyborczym, powrócę jeszcze do tej sprawy, tymczasem bowiem agitacja się rozwija, a my będziemy mieli sposobność nauczyć się odmieniać nazwiska kandydatów przez wszystkie liczby i przypadki.

Kto wie, czy ja nie przedstawię listy mych własnych kandydatów, którym uczyniłbym ewentualnie poparcia, będzie to zależne od liczby ich zgłoszeń i sposobu, w jaki postarają się przekonać mnie o swych cnotach i zasługach.

Cierpliwości więc!...

W ubiegłym tygodniu mieliśmy oprócz przygotowań do wyborów i kilka innych sensacji, między innymi demonstrację bezrobotnych, którzy w poważnym pochodzie pociągali pod magistrat, dopominając się chleba.

Zapytywałem jednego z mniej uświadomionych, dlaczego demonstrują, odpowiedział:

— Ponieważ brak pracy!

— A jeśli praca się znajdzie?

— Wówczas będziemy znów strejkować!

Dzięki tego rodzaju polityce w szeregach partii socjalno-demokratycznej widać coraz większe szczyrby, trzymają się jej przeważnie wyznawcy Mojżesza, mają bowiem sposobność nadawania tonu tym, którzy im jeszcze wierzą i spodziewają się złotych gruszek na wierzbie, tak często obiecujących.

Święto robotnicze wypadło też bardzo mdło, pewnem urozmaicheniem była tylko burza z piorunami, która zerwała się popołudniu i stanowiła początek prawdziwie majowej aury. Zaczął padać nawet śnieg i krupy, na gwałt trzeba się było przeprosić z futrem lub bodaj zimowym paltotem.

Równocześnie gościł w Krakowie gubernator Banku austriacko-węgierskiego, Popowicz i ogromnie sobie chwalił gościnność tutejszych obywateli, zaznaczając na odjeździe, iż bardzo się cieszy, widząc taki dobrobyt, nie będziemy bowiem naprzykrzać się o nowy kredyt. Ci, którzy go przyjmowali, kiwnęli z powagą głowami i zawołali chórem:

— Naturalnie, ekscelecencyo!...

Zdaje mi się, że mieli rację, skoro bowiem pokazuje się, że suchoty płucne są uleczalne, ciekawy jestem, dlaczego i kieszeniowe nie miałyby być takimi samymi?

To mnie tylko dziwi, że wynalazcą nowej metody leczenia nie jest zawodowy lekarz, lecz amator-biolog, adwokat Spahlinger, Szwajcar z urodzenia.

DRA CRONIER'A PIGULKI PRZECIW BOLESCIOM NEURALGICZNYM

Dostać można:
we wszystkich Aptekach
i Składach Aptecznych.
Skład Główny:
PARIS, 75, rue de la Boétie.

Zapobiegają
Przynoszą
Ulęgę
Leczają

BOLEŚCI
NEURAL-
GICZNE
I KOBIECE.



Pierwsza zmarszczka jest pierwszym poważnym zmartwieniem pięknej kobiety. Dajmy jej sposób usunięcia takiej. Wystarczy jej używać znakomitego *Crème Simon*, który powracając skórze elastyczność, usuwa zmarszczkę, poprzedniczkę następnych, jeżeli się nie uważa i nie zapobiega. Uzupelnąć pielęgnację piękności *pudrem ryżowym Simon*, gwarantowanym, że czysto ryżowy, przewyższa wszystkie inne pudry, a zachowa się świeżość do późnej starości. 64

